

24.10.2018, godz. 18.00 – otwarcie wystawy grafiki i obrazów Jacka Solińskiego pt. „Bezczynność nieopisana”. Wypowiedzi – Przemysław Dakowicz, Adrian Gleń, Wojciech Kass i Piotr Wiesław Rudzki; czytanie tekstów – autorzy oraz Mieczysław Franaszek, Jan Kaja i Roma Warmus.

„Bezczynność” nieopisana

Grafika warsztatowa, zwłaszcza wypukło-druk, do którego zalicza się linoryt ma w sobie coś pierwotnego. Lubię porównywać cięcie rylcem w linoleum z pracą kornika. W obu przypadkach powstające przejścia i labirynty są (w jakimś sensie) do siebie podobne, bo stanowią zapis wędrówki. Są śladami aktywności. W moim wypadku zajęcie rytownika stało się również podróżą ku równowadze. Między matrycą grafiki a odbitką zarysowuje się symetria. Ta prawidłowość jest mi bliska. Kompozycja wycięta w linoleum pozostaje odwrócona, jak w lustrzanym odbiciu. Dopiero po przeniesieniu farby z linorytu na papier uzyskuje się właściwy obraz. Razem są jak rzeczywistość i jej odbicie widziane w zwierciadle. Mogę więc powiedzieć, że przygotowując matrycę szukam skupienia po drugiej stronie lustra, jak w *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla. Odpowiada mi ten poetycki obraz dwóch światów, bo wiem, że „po tamtej stronie” wszystko może się wydarzyć. „Wędrując” po powierzchni linorytu żłobię rzeczywistość swoich rozważań, łączę to, co realne, z tym, co nieprzewidywalne. Systematycznie i mozolnie, pogłębiam rowki, tak jakbym w tych strukturach znajdował uspokojenie. A jednak jest to zawsze przemieszczanie się na granicy pewności i niepewności.

Bycie rytownikiem coraz częściej wydaje się czymś osobliwym. Szczególnie dziś, kiedy technologia cyfrowa umożliwia osiągnięcie oczekiwanego efektu podczas kilku prób. A jednak w tym zajęciu jest coś wyjątkowego. Żłobienie w linoleum stało się czynnością niemalże archaiczną – nie potrzeba do tego komputerowych programów ani prądu, wystarczy tylko dłutko i światło. Jest w tym również coś intymnego. Moment podczas odbijania grafiki na prasie, w którym od matrycy oddziela się pierwszą odbitkę, pozostaje zawsze przeżyciem. Taka chwila przypomina narodziny – to, co było rzeźbione przez kilka miesięcy, nagle pojawia się na papierze w swojej ostatecznej postaci. To jest powrót z „drugiej strony lustra”.

Od lat 70. ubiegłego wieku pracowałem systematycznie nad kolejnymi linorytami. Wciąż działałem, jakbym miał za mało czasu. Trwało to blisko cztery dekady, aż w końcu nastąpił przełom. Zdałem sobie sprawę, że zbyt bardzo cenię czas, żeby się spieszyć. Zacząłem przyglądać się swojej terażniejszości z nowym skupieniem, już z innej perspektywy w taki sposób, jakbym nie potrzebował do opisu świata wielu zdań, tylko kilku słów. Istotne pozostały: komunikatywność i zwięzłość.

Papież Jan XXIII zwykł mawiać, że *trzeba mieć spakowane walizki*. To przesłanie ma dla mnie istotne znaczenie, bo w prosty sposób określa ludzką kondycję. Życiowa gotowość wobec tego, co nieuchronne, nieznane i nieprzewidywalne działa jak busola. Nie chodzi tu tylko o eschatologiczną refleksję, ale o przeżywanie podniosłości każdej chwili. Konfrontacja z terażniejszością może być jak permanentny stan zadziwienia. Radość płynąca z afirmacji spraw pozornie nieważnych to efekt błogosławionej „bezczynności”. Dorastanie w takiej atmosferze do wyzwań pobudza dalekowzroczność. Wypowiedzenie wobec życia słowa „tak” jest deklaracją i rodzajem zawierzenia. Stanowi wybór wartości, za którym idzie określona postawa wobec innych, jak również wobec rzeczywistości przeżywanej. W konsekwencji staje się swoistym manifestem i odpowiedzią na dar istnienia.

Oddając się „korniczemu nałogowi”, czyli linorytnictwu, właśnie tak rozumiem cel tego działania. Żłobię dłutkiem rowki i punkty, które stają się białymi liniami, plamami i punktami. Wydobywam w sensie dosłownym i metaforycznym, z czerni biel, z ciemności światło, tak jakbym wędrował rylcem wychylając się z nocy ku dniowi. Zapisuję zwyczajność, która staje się dla mnie nadzwyczajna.

Jacek Soliński